

**ZAWSZE TRZEBA ZACZYNAĆ OD MARZEŃ.
POTEM PLANY.
NO I TRZEBA SPRZĄTAĆ ŚMIECI Z RZEKI,
BO JA POTEM KAJAKIEM NIE MOGĘ SIĘ PRZEBIĆ**

Aleksander Doba

Życie zaczyna się po sześćdziesiątce. Wtedy można np. przepłynąć Ocean Atlantycki kajakiem: I to dwukrotnie. „Na oceanie nie ma ciszy” to historia Aleksandra Doby, emerytowanego inżyniera mechanika, który został Podróżnikiem Roku 2015 „National Geographic” oraz otrzymał Grand Prix w konkursie Travelery 2014: W ciągu 167 dni pokonał ponad 12 tys. km kajakiem z Lizbony do New Smyrna Beach na Florydzie. Walczył z awariami, przeciwnymi wiatrami i dziewięciometrowymi falami. Na 47 dni stracił łączność telefoniczną ze światem. O czym się myśli przez tyle samotnych dni? .

Za rok Doba kończy 70 lat. Planuje kolejną wyprawę, trudniejszą od poprzednich. Sam o sobie mówi, że jest tylko turystą.

MBP Cieszanów
Na oceanie nie ma ciszy...



0000026239

WYDAWCA: AGORA SA

z w formie e-booka na **publio.pl**

NA OCEANIE NIE MA CISZY



DOMINIK SZCZEPAŃSKI

DOMINIK SZCZEPAŃSKI



NA OCEANIE NIE MA CISZY

Biografia **ALEKSANDRA DOBY**,
który przepłynął kajakiem Atlantyk





W kabinie jest ciasno. Czasem w myślach nazywałem ją trumienką, tylko to nie do końca dobre określenie, bo w trumnie leży się na plecach, a u mnie na początku wyprawy się nie da. Za dużo w niej rzeczy. Leżałem więc na boku, z podkurczonymi nogami

A może nic nie robić? To niesamowite uczucie, gdy statek robi się coraz większy i większy, i wydaje się, że zaraz w ciebie uderzy. I tak na pustym oceanie stumetrowy statek zbliżał się do mnie z pełną prędkością.

Przez kilkanaście minut wpatrywałem się tylko w niego, jakby świat dookoła mnie zniknął, był pusty i nieważny. Stałem zahipnotyzowany. Rzeczywistość rozplynęła się jak 13 lat wcześniej, gdy fale ściągnęły mnie z kajaka podczas wyprawy z Polic do Narwiku.

Rozdział II

O strachu, który nie zdążył zastygnąć

Szwedzi narzekali. Był lipiec 2000 r., okres urlopowy w pełni, a plaże puste. Nie spodziewałem się tego, pakując kajak.

Do 27-kilogramowego modelu North Sea Star załadowałem 50 kg bagażu. Pytano mnie później, czy wziąłem kuchenkę turystyczną. W końcu wybierałem się za koło podbiegunowe północne, więc wypadałoby od czasu do czasu zjeść coś ciepłego. Nie wziąłem. Wielokrotnie testowałem swój organizm i okazywało się, że jestem w stanie normalnie funkcjonować bez ciepłych posiłków. Ta próba była trudniejsza od poprzednich, bo wyprawa z Polic do Narwiku miała potrwać 101 dob, ale to i lepiej.

Im trudniej, tym lepiej.



Nie zwracałem sobie więc głowy kuchenką. Jedzenia z Polski zabrałem na kilka dni. Miałem też awaryjne paczki, takie, jakie umieszcza się na tratwach ratunkowych. Schowałem je głęboko na dnie kajaka. To był żelazny zapas na czarną godzinę. I bez jedzenia kajak był wypchany do granic możliwości, więc postanowiłem kupować je na bieżąco. Zabrałem duży, trzyosobowy namiot. Mogłem wziąć mniejszy, ale te krótkie chwile wygody podczas długiej wyprawy mają znaczenie. Spakowałem też karimatę.

Za Malmö dopadł mnie sztorm. Akurat przepływałem obok małej wysepki. Dobiłem do skał. Była bezludna. Sztorm trzymał mnie tam przez dwa dni. Z brzegu widziałem ląd, ale nie mogłem się ruszyć. Musiałem przeczekać sztorm. Było zbyt groźnie. Miałem problem z rozbiciem namiotu, bo wiało tak mocno, że cały pompował mi się w rękach. Łapał powietrze jak wielki parasol. W końcu się udało. Przyłożyłem go kamieniami i dobrze naciągnąłem na linkach. Sztorm minął w idealnym momencie, bo akurat kończyły się zapasy.

Szwedzi narzekali, że lato niedługo minie, a oni jeszcze się nie kąpali. Kupiłem widokówkę, na której widać było pełne plaże. Oglądałem ją sobie na kajaku, próbując dopasować widoki, ale się nie dało. Zamiast tłumów na plażach widziałem pojedyncze osoby, które nie nosiły strojów kąpielowych, tylko jesienne kurtki. Ten pogodowy pech połączył nas, bo ja też wolałbym płynąć w dobrej pogodzie.

Norwegia przywitała mnie upałem. W Oslo nawet nie rozkładałem namiotu. Po 27 dniach wyprawy dobiłem do pomostu w klubie żeglarskim i postanowiłem spędzić noc pod wiatą. Krzątałem się przy kajaku, gdy obok pojawiły się dwie młode dziewczyny.

Powiedziały, że są dziennikarkami. Nie wiedziałem, czy ktoś je nadsłał, czy same mnie znalazły, ale poprosiły o wywiad. Dzięki temu Polonia w Narwiku dowiedziała się, że w ich stronę kieruje się kajakarz z Polski. Później mówili mi, że to wydawało się nierealne, bo Norwegia taka długa, więc jak z Oslo pokonać ją na kajaku?

Akumulatory na dalszą drogę poszedłem ładować do muzeum statku polarnego „Fram”. Zbudowano go w 1892 r. na życzenie podróżnika Fridtjofa Nansena, który chciał dopłynąć tam, dokąd jeszcze nikomu się nie udało – najdalej na północ. Trzymasztowy szkuner musiał więc jakoś poradzić sobie z lodową pułapką, której do tej pory nie przebył żaden statek. Zamarzające wody działały jak imadło i niszczyły inne łódki. Nansen wymyślił, że skoro nie da się zbudować statku odpornego na działanie ogromnych sił, to trzeba je przechytrzyć. Zamiast opierać się naciskowi, dzięki swojemu nietypowemu kształtowi „Fram” wyskakiwał nad zamarzające morze. Jak piłeczka, którą próbuje się ścisnąć ze wszystkich stron o wiele mniejszymi od niej płaskimi deskami. „Fram” przy swoich 39 metrach długości imponował szerokością – prawie 11 metrów. Miał wzmocniony kadłub, podnoszoną śrubę i ster, ocieplenie z włosia reniferów i wiórków korkowych. Potem był używany przez Otto Sverdrupa do eksploracji Archipelagu Arktycznego i przez Roalda Amundsena, który dopłynął nim do Zatoki Wielorybów, skąd rozpoczął marsz w stronę bieguna południowego. Zdobył go jako pierwszy w historii.

Oglądałem statek i pamiątki, które zostały po tych wielkich odkrywcach. Dziś nazwalibyśmy to wszystko prymitywnymi urządzeniami, wyglądającymi bardziej jak przedmioty wykopane spod ziemi, relikty starej cywilizacji, niż rzeczy, które prowadziły



Muzeum statku polarnego „Fram” w Oslo. Zbudowano go w 1892 r. na życzenie podróżnika Fridtjofa Nansena, który chciał dopłynąć tam, dokąd jeszcze nikomu się nie udało – najdalej na północ

Nansena, Sverdrupa czy Amundsena do przełomowych wypraw. Gdy później przypomiiałem i wyobrażałem sobie, z jakimi trudnościami musieli się zmagać, to moje problemy nagle stawały się malutkie. Że trochę mi zimno? Że trochę jestem zmęczony? Oni na pewno mieli gorzej.

Na ścianie niedaleko „Frama” zawieszone były oryginalne kajaki eskimoskie. A tuż obok stoi muzeum „Kon-Tiki”. Na ścianie wisi plakat ze słowami Thora Heyerdahla: „Granice? Nigdy żadnej nie widziałem. Ale słyszałem, że istnieją w umysłach ludzi”. Ten norweski podróżnik i antropolog usłyszał od jednego Polinezyjczyka legendę, według której mieszkańcy Polinezji dawno temu przyплыnęli na te obszary znad jeziora Titicaca w Ameryce Południowej na drewnianych łodziach. Te słowa nie dawały mu spokoju. Zaczął porównywać obie kultury i znalazł podobieństwa w sztuce i dialekcie. Gdy przedstawił swoją teorię innym antropologom, żaden mu nie uwierzył. A jeden rzucił nawet: „Doskonale, proszę spróbować odbyć kiedyś podróż z Peru na wyspy Oceanu Spokojnego na tratwie z balsy”. Heyerdahl uznał, że to znakomity pomysł.

Z ekwadorskiego drewna ogorzałki wełnistej, popularnie zwanej balsą, dwukrotnie lżejszego od korka, zbudował tratwę. Bale długie na kilkanaście metrów związał konopnymi linami. Na tym ułożył bambusową plecionkę. Sześcioosobowa załoga spała w niewielkim szałasie przykrytym liśćmi bananowca. Między masztami



z drewna mangrowego łopotał żagiel z wizerunkiem Kon-Tiki, legendarnego przywódcy, który według legendy przepłynął się z terenów dzisiejszego Peru do Polinezji. Do sterowania Heyerdahl użył prawie sześciometrowego wiosła, też specjalnie zbudowanego. Z nowoczesnych przyrządów miał tylko radiostację.

Po zatankowaniu 1100 litrów wody i zapakowaniu konserw 28 kwietnia 1947 r. wypłynęli z portu Callao w Peru. Latające ryby, które spadały na tratwę, służyły im jako przynęta na większe – tuńczyki czy makrele. Po 101 dniach i przepłynięciu 4300 mil morskich dotarli do atolu Raroia w Polinezji Francuskiej.

Nie ma więc rzeczy niemożliwych, jeśli tylko dobrze przygotujemy wyprawę i nie poddajemy się, gdy sprawy zaczynają się komplikować. Jak Ernest Shackleton, inny wielki odkrywca. Niesamowicie twardy człowiek, który walczył z całych sił o życie swoje i swoich współtowarzyszy w trudnych polarnych warunkach, kiedy kra unieruchomiła ich statek daleko od lądu. Z pięcioma członkami załogi na małej, sześciometrowej łodzi ratunkowej przepłynął 720 mil morskich i po 15 dniach dobił do Georgii Południowej. Płynął po ratunek, zostawiając załogę na Wyspie Wielorybów. Nie wziął zapasów, bo gdyby mu się nie udało, to tylko by się zmarnowały. Na miejscu pokonał jeszcze w ciągu 36 godzin 51 km górzystego terenu. Wyczerpany dotarł do przystani i zorganizował pomoc.

To był jeden ze wzorów tej twardości, która pomagała mi w wyprawach. Gdy pojawiał się jakiś problem, to myślałem sobie, że przecież Shackleton i jego towarzysze mieli gorzej. Walczyli o życie w mrozie, a ja byłem bezpieczny w kajaku na wodach o wiele cieplejszych. Historia Shackletona wiele razy pozwoliła mi więc uwierzyć, że skoro inni przetrwali, to dlaczego ja miałbym nie dać rady?

Poza tym Shackleton był odkrywcą, a ja jestem tylko zwykłym turystą. Jestem ciekawy świata, odkrywania czegoś nowego. Szukam nowych tras i wyzwań.

Opuściłem Oslo i kierowałem się na północ wzdłuż wybrzeża. Mijałem kolorowe norweskie domki i latarnie morskie z białymi podstawami i czerwonymi daszkami. Przypominały grzybki. Czasem blisko kajaka pojawiały się meduzy, niektóre duże jak wiadro. Miały kilkumetrowe parzydełka, w których widać było zaplątane ryby, nieruchome, porażone.

Jedzenie kupowałem w norweskich sklepach, głównie chleb, masło i sery. Czasami brałem trochę kiełbasy w plasterkach, ale nie za dużo, bo dni były jeszcze upalne i mogła się zepsuć.

Namiot nieopodal jednej z norweskich przystani. W dużych miastach zawsze mam problem ze znalezieniem miejsca na nocleg. Dopóki nie ma cywilizacji – nic prostszego



■ Nie zawsze udawało mi się rozbijać na dziko. Czasami musiałem szukać właścicieli terenu, na którym miałem zamiar spędzić noc. Zdarzało się, że zapraszali mnie na noc do domów. Tylko raz przepędzili. Wylądowałem ok. 14, bo warunki na morzu robiły się coraz trudniejsze. 300 metrów dalej stał dom. Zostawiłem kajak i poszedłem spytać o zgodę na nocleg. Idę, z daleka krzyczę, bo nie chciałem nikogo zaskoczyć. W końcu z domu wyszedł mężczyzna. Zapytałem, czy mogę rozbić przy brzegu namiot. Nie zgodził się. Próbowałem mu wytłumaczyć, że morze jest wzburzone, niebezpieczne, ale nie słuchał. Powiedział, że to mój problem i że mam opuścić jego teren. Miał do tego prawo, trzeba uszanować i takie decyzje.

Większość Norwegów wykazywała się jednak wyrozumiałością i czasem nawet opiekuńczością, gdy zapraszali mnie do siebie. Nie mogli tylko zrozumieć, co ja u nich robię. Gdy mówiłem, że jestem z Polic, to rozumieli, że to miasto, że leży w Polsce. Nie mogli tylko pojąć, jak przetransportowałem stamtąd kajak, a gdy mówiłem, że po prostu nim dopłynąłem, to nie chcieli uwierzyć. „Kto ci pomaga? Kto kupuje jedzenie?” – pytali.

Linia brzegowa Norwegii ma pełno wysp i fiordów, więc nawigacja nie jest łatwa. Trzymałem się szlaku żeglarskiego i gdy wiedziałem, że niedaleko jest coś ciekawego, to zmieniałem trasę. Im dalej na północ, tym ruch był coraz mniejszy. Powoli zaczęły znikać jachty. Zostały niemal same motorówki. W marinach żeglarze mówili mi, że zbliża się jesień i że przyniesie ze sobą silne wiatry, które sprawią, że nie dam rady dalej płynąć. Ale płynąłem. Jachty zostawały w portach, a ja co rano kierowałem się dalej na północ.

Dziwiłem się, dlaczego motorówki mają radary, aż pewnego dnia nad wodą pojawiła się mgła tak gęsta, że niewiele widziałem.

Słyszałem tylko bucзки. Starałem się płynąć jak najbliżej brzegu, by nie zderzyć się z jakąś łódką, którą ktoś akurat mógł płynąć do pracy albo na zakupy. Radar w Norwegii to nie gadżet. To konieczność, bo im rok starszy, tym częściej pojawia się mgła. Paskudny obłok. Odebrał mi bezpowrotnie wiele widoków.

Z map wiedziałem, że przepływam obok pięknych wodospadów i łańcuchów górskich, ale mgła była tak gęsta, że widziałem tylko skrawki ich piękna. A wystarczyłoby, żeby chmura się zlitowała i na kilka sekund dała przegonić się wiatrowi.

Do Bergen wpływałem w strugach deszczu. Podobno tego dnia spadło go 61 litrów na metr kwadratowy. Nie przstraszyło to sprzedawców, którzy pod zadaszonymi kramami sprzedawali miejscowe wyroby. Łało mi na głowę, gdy zwiedzałem targ. Trafiłem na stoisko z kiełbasami z renifera i łosia. Spróbowałem po kawałku i wróciłem do kajak.

W dużych miastach zawsze mam problem ze znalezieniem miejsca na nocleg. Dopóki nie ma cywilizacji – nic prostszego. Wybieram kawałek plaży, dobijam, rozstawiam namiot. Ale jak zrobić to w mieście, gdzie wszędzie pełno ludzi? W Bergen miałem szczęście. Zauważyłem platformę, a nad nią budynek. Dzięki ciekawemu pomysłowi architekta miałem zapewniony dach nad głową, bo fragment tego budynku po prostu wisiał nad pomostem. 10 metrów dalej był chodnik, chodzili nim ludzie, ale nikt mi nie przeszkadzał.



O mało nie zginąłem tam, gdzie Morze Norweskie łączy się z Północnym. To pierwsze jest bardziej na północ. O tym, że coś się święci, dowiedziałem się, kupując chleb. Zawsze podczas zakupów



przeglądałem gazety. Szukałem prognoz. Miało wiać, i to mocno, bo ponad 10 m/s. Zbliżał się sztorm. Jedynym sposobem, by nie tracić czasu na przeczekiwanie go, było wycofanie się z otwartego morza i płynięcie jeszcze bliżej lądu, by przed nadejściem sztormu schować się w głębi fiordu. Tam wieje o wiele słabiej, bo wystające na kilkaset metrów nad taflę wody góry zatrzymują podmuchy.

Zacząłem więc się wycofywać, gdy zobaczyłem zbliżające się ciężkie, ciemne chmury. Odpłynąłem 5 km od otwartego morza i zadowolony z siebie stanąłem na obiad. Potem wróciłem na kajak. Czułem się bezpieczny. Płynąłem w głąb fiordu, którego szerokość wynosiła około półtora kilometra. Najpierw zdziwił mnie wiatr. Wiało mocno, góry nie dały oczekiwanego schronienia. Jeszcze bardziej się zdziwiłem, gdy na powierzchni wody zaczęły tworzyć się półtorametrowe, mocne fale. Złapałem mocniej wiosło. Chciałem dotrzeć na drugi brzeg, z którego wiało. Tam, bliżej gór, musiało być spokojniej. Bo nawet gdy wieje mocno, to pod samą ścianą wiatru jest niewiele.

Nie zdążyłem. Już w połowie szerokości fiordu wiedziałem, że będzie kiepsko. Nie wiem, jak w Norwegii nazywają to, co działo się tego dnia na wodzie, ale w Polsce mówimy „biały szkwał”. Koło mnie zaczęły tworzyć się grzywacze. Fale nie załamywały się już w powtarzalny sposób. Było ich coraz więcej i rosły. Gdy miały dwa metry i robiły się coraz bardziej strome, to nie byłem w stanie utrzymać kajaka w pionie. Jedna podpórka, druga... Przewróciło mnie.

Linia brzegowa Norwegii ma pełno wysp i fiordów, więc nawigacja nie jest łatwa. Trzymałem się szlaku żeglarskiego i gdy wiedziałem, że niedaleko jest coś ciekawego, to zmieniałem trasę



Kajak stanął dnem do góry. Kilka razy próbowałem go odwrócić, wykonując eskimoskę – starą kajakarską sztuczkę, która pozwala wrócić do pionu. Nie udawało się.

Woda miała jakieś 10 stopni Celsjusza, a ja byłem prawie goły. Podczas wyprawy miałem problem z suszeniem rzeczy, więc trzymałem je w suchym miejscu, a na siebie zakładałem niewiele. Teraz płynąłem w koszulce polarowej z długim rękawem i podgumowanej bluzie. Na głowie miałem czapkę ze sznurkiem przewieszonym pod brodą, żeby wiatr jej nie zwał, a dookoła pasa przywiązałem wcześniej wodoszczelny mapnik. Zaczepił się o kajak, a gdy próbowałem się odplątać, to urwał mi pasek do zegarka. Nie wiem, jakim cudem, ale w końcu udało mi się odwrócić kajak do normalnej pozycji. Z tyłu miałem kamizelkę. Szybko ją włożyłem i powiązałem z kajakiem cumką. Nie wróciłem do środka, bo fale rzucały nim jak oszalałe i wiedziałem, że się nie utrzymam. Płynąłem wpław, ciągnąc za sobą kajak, w stronę oddalonego o 300 metrów brzegu.

Poczułem, że cuma nie jest już napięta. Obejrzałem się. Kajak odpływał, widocznie za słabo go przywiązałem. Zawróciłem i próbowałem go dogonić. Nie miałem szans. Płynął szybciej ode mnie. Znow zmieniłem kierunek i zalewany przez grzywacze płynąłem w kierunku brzegu. Ostatnie, co pamiętam, to zdziwienie, że tak łatwo można rozstać się z życiem. Nie wiem, co działo się przez kolejne półtorej godziny.

Obudziło mnie wycie. Otworzyłem oczy. Znajdowałem się na małej łączce 50 metrów od brzegu. Rozejrzałem się dookoła, by znaleźć źródło dźwięku, ale to nie był ani alarm w samochodzie, ani pies, ani inny człowiek. To ja wyłem. Przykucnięty trząsałem się z zimna. Dlaczego nie leżałem, tylko kuciałem? Wstałem. Kawalek dalej zauważyłem wiatę. Doszedłem do niej i znalazłem rybackie

sieci. Wsunąłem się pod nie. Nie dawały ciepła. Wyszedłem i zacząłem iść w kierunku budynku, który stał kilkadziesiąt metrów dalej. Wyglądał na domek letniskowy. Pamiętam, że zdziwiło mnie, jak dużo w nim szkła. Stukałem w te szyby, pukałem, ale nikt nie odpowiadał. Był początek września, już dawno po krótkim lecie. Właściciele pewnie nie mieli już tu czego szukać.

Włamać się? Rozbić szybę i poszukać czegoś ciepłego? Czegokolwiek, byle tylko włożyć coś na zziębnięte ciało, ogrzać się chociaż na chwilę. A może w szafce mają herbatę?

Nie, nie mogę przecież komuś rozbić szyby. Kto wie, kiedy znow tu wrócę.

Mignęło mi świeże wspomnienie. Dopiero teraz dotarło do mnie, że idąc w kierunku domku, słyszałem silnik samochodu. Gdzieś tam w oddali ciągnęła się wąska nitka asfaltu. Muszę iść do szosy. Wiatr osuszył ciało, ale wcale nie zrobiło mi się cieplej.

Powoli, zginając i prostując obolałe od zimna stawy, człapałem w kierunku drogi. Krok za krokiem, byle tylko jakoś tam dojść. Z każdej strony nadciągał mrok. Słońce zginęło za czarnymi chmurami. W oddali mignęły światła samochodu. Chciałem podbiec, ale zanim myśl dotarła do nóg, auto przejechało mi przed nosem. Postawiłem bose stopy na asfalcie. Pojazd zatrzymał się sto metrów dalej. Kierowca musiał zobaczyć mnie kątem oka. Podbiegłem w jego kierunku. To był samochód policyjny.

Gdy się przedstawiłem, usta Norwega zamieniły się w uśmiechnięty rogalik. Prawie zginąłem, a on się śmieje? Spytał, czy byłem sam na kajaku. Potwierdziłem, a on zaśmiał się jeszcze szerzej. Ktoś znalazł mój kajak i zawiadomił policję. Rozpoczęła się akcja poszukiwawcza, ale skoro to mój kajak i ja żyję, to on ją teraz odwoła.

Kajak leżał wyrzucony na skały. Musiałem przepłynąć nim 50 metrów do miejsca, gdzie można było go wygodnie wyciągnąć na brzeg.

Straciłem telefon. Zamókł i wysiadł. Policjant pożyczył mi komórkę. Zadzwoiłem do domu i do pracy. Powiedziałem, że warunki są trudne i myślę o przerwaniu wyprawy. Nadchodziła jesień, wiatry robiły się coraz mocniejsze. Byłem już w drodze dwa miesiące, mogłem czuć zmęczenie, więc nie dopytywali.

Nie powiedziałem, co dokładnie się stało. Nie chciałem ich martwić.

Norwedzy przygarnęli mnie pod dach. Przez dwa dni myślałem, co zrobić. Nigdy wcześniej ani później nie przeżywałem tak głębokiego kryzysu psychicznego. Po powrocie, gdy opowiadałem o tym psychologom, to mówili mi, że gdybym wtedy nie popłynął dalej, to miałbym wielkie kłopoty z wróceniem do kajakarstwa.

Strach był żywy, ale jeszcze nie zdążył we mnie zastygnąć. Tak jak śnieg, który schodzi zboczem z lawiną. Gdy się w końcu zatrzyma, to w ciągu kilku minut zmienia się w lodowy beton. Jeśli jesteś wtedy pod nim, nawet kilkadziesiąt centymetrów pod powierzchnią, to masz kilka chwil, by spróbować się oswobodzić. Później nie dasz już rady, nie poruszysz nawet ręką, by wykopać sobie przestrzeń dookoła ust.

Strach jeszcze nie zastygł, więc wsiadłem do kajaka i popłynąłem dalej. Świat nie nabrał nagle kolorów, a ja nie poczułem ulgi. Problemy nie zniknęły. To był trudny okres, bo wciąż wiało mocno, a mi w głowie ciągle siedziała myśl, że znów mogę się przewrócić i tym razem nie mieć tyle szczęścia.

Szkwały uderzyły we mnie z trzech stron, kompletnie się wcześniej nie zapowiadając. Znów płynąłem wewnątrz fiordu. Wydawało się, że będzie spokojnie, ale nagle z góry spłynął powiew.

Podparłem się, dokładnie tak samo jak podczas niedawnego wypadku. Nie rozumiałem, jak nagle tak bardzo wszystko może się na wodzie zmienić. Jakby ktoś tymi wiatrami strzelał z rewolweru. Cisza, a tu trach! To był decydujący dzień. Nie przewróciłem się. I powoli, z godziny na godzinę, wracała mi pewność.

Śnieg dopadł mnie na końcu Geirangerfjordu. To perła Norwegii. Miejsce tak głębokie, że wpływają tutaj morskie statki. Białe płatki spadły w nocy. Gdy wstało słońce, góry wyglądały, jakby ktoś posypał je cukrem pudrem, a ten, pod wpływem promieni, zamienił się w lukier. Był 10 września. Do Narwiku miałem jeszcze kawał drogi. Wszyscy napotkani ludzie mówili mi, żebym przerwał wyprawę, bo już za zimno i zbyt mocno wieje.

Ale ja powolutku, dzień po dniu, zbliżałem się do celu. Nie mogłem się zatrzymać, by dłużej odpocząć, bo w pracy umówiłem się, że będę płynął tak szybko, jak to możliwe. 26 dni przysługującego mi urlopu już dawno minęło. Gdybym stanął, to ktoś mógłby pomyśleć, że byczę się na wczasach.

W końcu udało mi się dopłynąć za północne koło podbiegunowe. Na mapach jest ono zaznaczone najczęściej przerywaną linią. Żeby nie przegapić tego ważnego momentu, sprawdzałem swoje położenie na GPS-ie. Niepotrzebnie. Gdy byłem już blisko, to zwiększyła się liczba statków wycieczkowych. Kierowały się one w kierunku małej wyspy Vikingen, gdzie przy brzegu ustawiono kilkumetrowy pomnik w kształcie globusa.

»————→
Lodowiec Folgefonna w ramionach Hardangerfjordu (2000 r.)

6 października 2000 r., po 101 dniach i 5369 km, dopłynąłem do Narwiku. Był piątek. Po ciemku wpłynąłem do portu jachtowego. Padało. Byłem zmęczony, ale to uczucie nie dominowało. Silniejsze było to drugie, które pojawia się, kiedy zrobisz coś, co długo planowałeś, i mimo komplikacji nie poddajesz się. Chciałem podzielić się z kimś moją historią, więc poszedłem poszukać miejscowej gazety. W Narwiku są dwie. Trafiłem do redakcji, w której pozwolili mi zadzwonić do domu. Powiedziałem Gabi, że jestem bezpieczny i że już dalej nie płynę. Z dziennikarką wróciliśmy do mariny. Brama była zamknięta, nikogo dookoła. Przeskoczyliśmy przez płot, bo chciała mi zrobić zdjęcie, jak wpływam do portu. Co było robić? Wszedłem do kajaka, odpłynąłem kawałek i po raz drugi dobiłem do pomostu. Później przeprowadziła ze mną wywiad. Poszedłem spać, a rano w sobotę obudziła mnie dziennikarka z drugiej gazety. Deszcz zniknął, ładnie świeciło słońce. Zapytała, czy nie mógłbym odpłynąć kawałek i udać, że właśnie wpływam do portu. W poniedziałek w dwóch gazetach pojawiły się artykuły o mnie. Do obu były dołączone zdjęcia, jak zjawiam się w Narwiku. Na jednym w nocy i w deszczu, na drugim w dzień, skąpany w słońcu.

W Narwiku stoi pomnik polskiego marynarza, który trzyma w dłoniach wielki pocisk. Następnego dnia przyszedł zapowiadany sztorm, przed którym udało mi się uciec. Od rana wiało mocno. Na pocisku huśtało się dwóch chłopców. Pomnik się przewrócił. Jeden z chłopców trafił do szpitala, a do gazety trafiło zdjęcie leżące go na ziemi pomnika otoczonego policyjną taśmą. Dawno w Narwiku nie mieli tak sensacyjnego dnia.

Zacząłem się zastanawiać, jak wrócić do Polski. Norweskie koleje na Dalekiej Północy nie działają. Wymyśliłem więc, że pojadę



**Na klifie Preikestolen w Norwegii. W tle Lysefjorden.
Do Narwiku jeszcze kawał drogi. Ale ja powolutku,
dzień po dniu, zbliżałem się do celu**

do Szwecji, do Kiruny, a potem pociągiem do Sztokholmu i stamtąd promem do Polski. Miałem pieniądze na bilet, ale w okienku powiedzieli mi, że muszę jeszcze zapłacić za kajak. Koszt jego przewozu potrajał stawkę. Wróciłem do portu przygnębiony. Siadłem na pomoście, podparłem otwartą dłońią podbródek i westchnąłem. Co tu robić? W oddali przy statku krzątali się jacyś ludzie. Podeszedłem do nich. Skrobali kadłub, coś tam malowali. Znałem ich. Wcześniej opowiedziałem im swoją historię. Zaproponowałem, że pomogę w pracach. Jestem w końcu

inżynierem mechanikiem, znam się na tym i owym, więc może pozwoliliby sobie pomóc, a w zamian zarobiłbym na bilet do domu.

Powiedzieli, żebym odpoczywał. Udostępnili mi szopę, w której mogłem spać. Przynosili jedzenie. Miałem zbierać siły i zwiedzać Narwik, a oni wymyślą, jak odesłać mnie do domu.

Codziennie chodziłem do portu i pytałem o statki płynące na południe. W końcu nadeszła dobra informacja – do Narwiku zmierza polski holownik, ale nie ma z nim na razie kontaktu, bo sygnał blokują góry. Zacząłem szukać o nim więcej informacji. Dzięki pomocy Radia Gdynia dostałem namiar na armatora. – Na holowniku jest 10 osób. To komplet. Środków ratunkowych jest na 20, bo tak przepisy wymagają. Więc pan byłby ponad normę i nie mogą pana zabrać. No, chyba że kapitan się zgodzi, bo ja nie będę sprawiał trudności – usłyszałem przez telefon.

Kapitan holownika przywitał się i przez pół minuty mierzył mnie wzrokiem. Nic nie mówił, tylko przyglądał się, jakbym był jakimś dziwakiem. – Słyszałem o panu – powiedział i zrobił długą pauzę. A ja już w środku byłem ugotowany. – Środki ratunkowe mamy, wystarczy – wycedził i znów zamilkł. Nie wytrzymałem. – No i co, weźmiecie mnie? – wystrzeliłem. Gdyby się nie zgodził, to chciałem im chociaż kajak wepchnąć, żeby go do Polski zawieźli, a ja już bym sobie jakoś poradził. Kapitan się uśmiechnął i całe napięcie, które stworzył, żeby trzymać mnie w niepewności, przysło. – No co mamy zrobić? Weźmiemy pana. Za dwa dni odpływamy.

Ten czas spędziłem u polskiej rodziny, która przygarnęła mnie do siebie. Mówili, że zwykle jest inaczej, bo jak słyszą o Polaku w tej części Norwegii, to spodziewają się kłopotów. Zwykle są wzywani przez policję, by pomóc w tłumaczeniach rodaka, który

coś przeskrobał. – Tym razem pan z tak daleka dopłynął, to możemy się czymś pochwalić – mówili.

Nie wiedziałem, czy na statku dostanę coś do jedzenia. Z tego wszystkiego zapomniałem spytać kapitana o mój status. Kupiłem więc trochę chleba, masła, wędliny, żeby coś ze sobą mieć. Niepotrzebnie.

– Ty, Alek, a może jeszcze trochę tego spróbujesz? – zapytał mnie kucharz. Podziwiałem go. Jeden sztorm gonił nas od północy, a drugi zbliżał się od południa. Momentami siła wiatru dochodziła do dziewięciu stopni w skali Beauforta. Wszystko się trzęsło, a on stał przy swoich garnkach i posługiwał się nimi niczym mistrz sztuki cyrkowej żonglujący płonącymi pochodniami.

– Znęcasz się nade mną, już nie mogę wytrzymać – rzuciłem pół żartem, pół serio, masując się po napęczniałym brzuchu. Po trzech miesiącach skromnego jedzenia nie byłem przygotowany na takie tuczenie.

– Spójrz na siebie! Taka z ciebie chudzinka, powinieneś się wzmocnić – powiedział i cisnął we mnie kawałkiem ciasta, które powstało między jednym a drugim sztormem.

Załoga dbała o mnie. Odstąpili mi nawet kajutę II oficera. Była tuż przy ścianie statku. Fale waliły o nią. Hałas taki, jakby ktoś młotem w kowadło nad uchem uderzał. Po 10 dniach dopłynęliśmy do Gdańska. Cekał na mnie jeden dziennikarz.

Na polskim cmentarzu Håkvik pod Narwikiem. Nastawiłem samowyzwalacz w aparacie, ustawiłem się na baczność, jakbym pełnił wartę przy grobie polskich żołnierzy, i pociągnąłem za zawleczkę. Puściła bez trudu, wypuszczając z siebie kłęby dymu

Cała załoga słuchała, jak udzielam wywiadu. Chwaliłem ich bardzo, dziękowałem za ich życzliwość. – Jedno mi dokuczało – mówię na koniec. – Ja nie palę, a oni prawie wszyscy palili. Messa przypominała komorę gazową.

Po wywiadzie podeszli do mnie i zapytali, dlaczego im nie zwróciłem uwagi. Ale jak ja mogłem im coś takiego powiedzieć? W końcu mnie przygarnęli, choć nie musieli. Byłem pasażerem na gapę.

Na koniec przywołam jeszcze jedno wspomnienie z tej wyprawy, bo tak się złożyło, że w Narwiku znalazłem się w 60. rocznicę bitwy. Autostopem dojechałem do leżącego kilka kilometrów od miasta cmentarza, gdzie leżą Polacy, którzy zginęli w walce o Narwik. Jest mały, cichy i w zasadzie już zamknięty, bo nie widziałem na nim nowych grobów. Niewiele brakowało, abym tam znalazł swoje nazwisko. Andrzej Doba, brat mojego ojca, był marynarzem i w czasie II wojny światowej pływał na statkach transportowych. Do Narwiku dostarczał broń i żywność. Niemcy zaatakowali jego statek. Andrzej został ranny i trafił do szpitala w Anglii.

Na tym cmentarzu stoi pomnik poświęcony naszym rodakom. Jest tam też urna z napisem, że znajduje się w niej ziemia uświęcona krwią Polaków. Ziemia pochodziła z Monte Cassino, spod Lenino i innych miejsc, gdzie Polacy oddawali życie w walce z Niemcami. Jadąc tam, kupiłem wiązanek kwiatów. Napisałem też kartkę. „Ja, Aleksander Doba, w 60. rocznicę walk pod Narwikiem przyplłynąłem z Polski, by złożyć hołd moim rodakom”.

W bitwie o Narwik, która trwała od 9 kwietnia do 8 czerwca 1940 r., walczyło ich 5 tys. Byli to członkowie Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich utworzonej na początku 1940 r. we Francji. Brygadą dowodził generał Zygmunt Szyszko-Bohusz.

Niemcy zaatakowali Narwik, by kontrolować transport rudy żelaza, która do niezamarzającego w zimie portu trafiała ze szwedzkiej kopalni w Kirunie. Żelazo było bezcenne przy ogromnym zużyciu przemysłu zbrojeniowego. Na pomoc Norwegom ruszyły też polskie okręty. Jeden z nich – „ORP Grom” – został 4 maja zbombardowany i zatopiony. Zginęło wtedy 59 osób. Pięć dni później do walk włączyli się żołnierze pod dowództwem Szyszko-Bohusza. W sumie Polaków pod Narwikiem zginęło ponad 150, a wielu uznano za zaginionych.

Oprócz wieńca i kartki na cmentarz zabrałem też świecę dymną, którą miałem ze sobą, by w razie problemów wezwać na morzu pomoc. Podeszedłem do polskiego pomnika. Na cmentarzu było pusto. Nastawiłem samowyzwalacz w aparacie, ustawiłem się na baczność, jakbym pełnił wartę przy grobie polskich żołnierzy, i pociągnąłem za zawleczkę. Puściła bez trudu, wypuszczając z siebie kłęby dymu. Cmentarz leży w lasku. W ciągu następnych kilku minut intensywny pomarańczowy dym zaczął wypełniać okolicę. Było go bardzo dużo. Zniknąłem w tej mgle, rozmyślając o losach żołnierzy pod Narwikiem. I o stryju, który nieomal zginął, gdy jego statek został zaatakowany przez Niemców.

Statek widmo, który minął mnie na oceanie. A co by się stało, gdyby uderzył prosto w kajak? Myślałem o tym długo, patrząc na fale. Pewnie odrzuciłaby mnie jedna z tych fal, które wywołał ten kolos